

Radiowe „stenki” – czyli scenki ze Stenką

Bogdan Zalewski: Bardzo miło mi gościć panią w studiu na Kopcu Kościuszki, po tak wyczerpującym dniu. Bardzo się cieszę, że pani do nas zawitała. Jak pani zniosła to obciążenie, przyjemne bo przyjemne, ale jednak obciążenie? Jak przetrwała pani spotkanie z tak wieloma fanami w Krakowie?

Danuta Stenka: Nie traktuję tego jako obciążenie. To było niezwykle miłe spotkanie, pełne dobrej energii ze strony tych państwa, którzy zechcieli zaszczyścić swoją obecnością to piękne miejsce, księgarnię w Rynku w Krakowie.

Dlaczego księgarnię? Dlatego, że książka – to oczywiste. Mniej oczywiste jest to, że książka jest z pani udziałem, to jest wywiad-rzeka z panią przeprowadzony przez Łukasza Maciejewskiego. Niezwykła lektura, bo wnikamy – czasem w bardzo intymne-momenty pani życia, zaglądamy także do kuchni, do warsztatu pani aktorstwa. A książka nosi tytuł „Flirtując z życiem”. Dla mnie to trochę paradoks. Życie – poważna rzecz. Życie to nie bajka. A tu – „flirtując”! Czyli zakładamy jakąś grę, trochę powierzchowną, prawda? Coś niepoważnego ...

Właściwie nie jestem w stanie odpowiedzieć panu na to pytanie, ponieważ tytuł został zaproponowany przez Łukasza Maciejewskiego.

Ale pani się nie dystansuje od niego?

Nie dystansuję się, coś w nim jest. Mnie się coś w nim podoba. Oczywiście nasza rozmowa była miejscami bardzo poważna i głęboka. Nie wiem, na ile jest odczytywana w ten sposób. Pamiętam te nasze spotkania i pamiętam, jak głęboko we mnie ... chwilami ... wchodziły te pytania ... jak głęboko w siebie musiałam zawędrować, aby na nie odpowiadać.

Ja się wcale nie dziwię, że pani się teraz głęboko zastanawia ... bo jest tam rzeczywiście sporo momentów goryczy, ciężko o nich mówić, ale z drugiej strony książka zaczyna się od czegoś bardzo przyjemnego ...

... sielanki ...

... słodkiego - w dosłownym sensie tego słowa. Trzeba być miodoustym, żeby tak o tym opowiadać, a pani to świetnie robi. Zrobiłem aluzję, proszę rozwinąć temat.

Tak, zaczynam od mojego dzieciństwa i pasieki moich rodziców, i mojej przygody z miodem, z wybieraniem miodu, z pszczołami ...

... razem z uczulonym bratem...

...uczulonym na jad pszczeli.

I znowu mamy paradoks, bo z jednej strony zabawa, radość, dzieciństwo, a z drugiej – poważne wyzwanie...

...i poważna decyzja. Prawdę mówiąc, jestem zaskoczona, jako dorosły człowiek, decyzją moich rodziców. Ja nie odważyłabym się postać do pasieki dziecka uczulonego na jad pszczeli. I to właściwie w samo centrum ...

...pszczeli matecznik...

... ponieważ mój brat z moim tatą wybierali miód, wyjmowali go z uli, więc byli najbardziej narażeni na użądlenia.

W pani książce jest wiele takich smaków dzieciństwa, dużo zmysłowości w ogóle, bo to i zmysł smaku i słuchu i ...węchu. Ja niestety nie jestem w stanie oddać państwu aury, jaką pani roztacza, aury zapachowej. A nawiązuję do tego zapachu w sposób świadomy, bo pani w książce wspomina, że kiedy pani grała w

„Metamorfozach” Owidiusza to ten spektakl kojarzył się pani z zapachem perfum.

To był pomysł przywieziony prosto zza oceanu przez naszego reżysera- Amerykanina Michaela Hacketta. Pomysł polegał na tym, żeby dodać kolejną warstwę temu spektaklowi. Była warstwa słowa, obrazu, muzyki na żywo i dodano zapach. Nasz kochany reżyser poszedł do jakiegoś sklepu ...

... tu będzie teatralna „kuchnia”...

... i wszystko zorganizował. Oczywiście zwierzył się nam z tego pomysłu, i – jako że był to początek lat dziewięćdziesiątych- nikt z nas nie wierzył, że ktokolwiek pójdzie z nim na taką współpracę, że jakikolwiek sklep udostępni mu za darmo perfumy, świeże perfumy „Dune”, które wchodziły właśnie na rynek. Okazało się, że to możliwe ...

... że oprócz mgły teatralnej można też rozwinąć wachlarz zapachowy.

Dostarczono nam butelki świeżych, nowych perfum i ten zapach rzeczywiście towarzyszył temu Owidiuszowi od pierwszych do ostatnich spektakli.

„Metamorfozy” kojarzą się pani z odpowiednim zapachem. A potrafi pani połączyć jakieś inne wydarzenie teatralne czy filmowe z jakimś zmysłem?

Wywołana do tablicy nie potrafię znaleźć. Z jakimkolwiek zmysłem? O Boże, nie umiem tak w ułamku sekundy znaleźć.

Mnie się na przykład film przypomniat „Prowokator” –znakomity film z pani udziałem z 1995 roku ...

...mój debiut kinowy...

... jeden z pierwszych filmów, w których pani zaistniała w masowej wyobraźni Polaków, mnie się kojarzy z wywoływaniem zdjęcia. Nie zapomnę tego flirtu pomiędzy trzema postaciami, odgrywanymi przez wybitnych aktorów- przez panią, Krzysztofa Pieczyńskiego i Bogusława Lindę. Tam jest taki niesamowity trójkąt uczuciowy pomiędzy państwem. W pewnym momencie wywołuje pani zdjęcie, targają panią emocje, a pani tę fotografię targa z taką niesamowitą precyzją. Robi pani z niej takie dokładne kwadraciki. Jak pani wywołała z siebie taką emocję- z jednej strony coś tak gwałtownego w kobiecie, a z drugiej strony taka matematyczna, geometryczna precyzja. Jak pani buduje takie sceny?

To są czasami konkretne sugestie, rozwiązania sceny, pomysły na sceny sugerowane przez reżysera, a czasami moje pomysły. Przychodzę ze swoimi przemyśleniami i są one „kupowane” przez reżysera, a czasami dzieje się to na planie. Ja nie pamiętam, skąd się ten pomysł wtedy pojawił. Chyba najpiękniej jest, kiedy zdarzy się coś nieoczekiwanego, kiedy każde z nas przychodzi- partner, reżyser, ja- ze swoim pomysłem na rozwiązanie sceny ...

...scenariusz idzie wtedy na bok, tak?

Korzystamy ze scenariusza, oczywiście korzystamy z dialogu, budujemy i przygotowujemy scenę podczas próby, i nagle zdarza się coś nieoczekiwanego, czy przez pomyłkę. Pomyłka wywoła coś i pojawia się rozwiązanie sceny nieprzewidziane przez żadne z nas. Te sytuacje uwielbiam! Bo one są niezwykle autentyczne, one wyrastają z tej chwili, bez jakichś wcześniejszych przemyśleń.

Pani bardzo często ingeruje w scenariusz. Przyznaje to pani w książce „Flirtując z życiem”. Przypomina mi się fragment pani wyznań, kiedy opowiada pani o pracy na planie filmu „Chopin. Pragnienie miłości”. Doszła pani do wniosku, że wiele scen jest

„przegadanych”, mówiąc tak trochę brutalnie. Pani tak trochę jak cenzor, „nożyczkami” obcinała niektóre kwestie. Sugerowała pani, że to można wyrazić emocją, a nie słowem.

To się zdarza.

Też jak we flircie.

Tak!

Słowa są gdzieś na boku, a jest tylko mowa gestów, ciała.

Nie zawsze słowa przekazują to, co rzeczywiście chcemy przekazać we flircie, prawda? Myślę, że trzeba sobie zostawić taką szansę w naszej pracy i to jest problem naszych scenariuszy. Generalnie. To jest problem naszych dialogów.

Wielosłowie.

Tak, wielosłowie. Musimy opowiadać, dopowiadać i przypominać. Czasami traktujemy widza bardzo źle.

Chcemy go prowadzić na sznurku.

Nie wierzymy w jego inteligencję. Nie wierzymy w jego uczucia, inteligencję emocjonalną.

Dlatego nawiązałem do filmu „Chopin. Pragnienie miłości” – pięknego filmu o niezwykłych uczuciach. Tam jest cała paleta uczuć, od miłości namiętnej- George Sand do Chopina- po zazdrość synowską o kochankę, zazdrość córki o kochankę, a więc relacja „kobieta-kobieta”. Cały wachlarz uczuć, a w tle są nie słowa a bukiety kwiatów, pejzaże, wierzby- coś co można przekazać przy pomocy obrazów. To jest prawdziwy film.

Tak. Niemniej to ciekawe doświadczenie akurat ten „Chopin”, wyjątkowe, bo nigdy takie się nie powtórzyło w moim życiu

zawodowym. Mieliśmy tę możliwość, żeby zagrać sceny i po polsku i po angielsku. Mieliśmy w ręku dwa scenariusze- polski i angielski, które, prawdę mówiąc, niewiele się różniły. Niemniej angielski tekst opracowywał prawdopodobnie jakiś scenarzysta amerykański, który pozbawił te sceny niektórych kwestii. Bardzo słusznie!

Stały się bardziej lakoniczne.

Mało tego- angielski jest ... jakby to powiedzieć ...

Taki zero-jedynkowy trochę, prawda?

Tak, zero-jedynkowy. Język angielski szybciej zmierza do celu, w języku polskim musimy wypowiedzieć słów, żeby opowiedzieć, wypowiedzieć to samo.

A oni – skrótem, prosto do celu.

Tak, skrótem!

Pani ma bardzo ciekawe doświadczenia językowe już od wczesnych lat dzieciństwa. Bo to i język rosyjski przez pani mamę, o której pani we „Flirtując z życiem” bardzo ciepło, wspaniale mówi, o nauczycielce języka rosyjskiego. Pani też była nauczycielką języka rosyjskiego, przez rok?

Przez chwilę.

Ale przecież także – kaszubski! Może za dużo powiedzieć dwujęzyczność, ale jednak.

Tak, tak.

Nie wiem, czy wielu naszych czytelników zdaje sobie sprawę, że ...
... że jô gôdam po kaszubsku?

To je krótczé, to je dłudżé, To kaszëbskô stolëca.

O, pięknie! Skąd pan to zna?

Nie wiem, jakoś tak mi się przykleiło.

To je krótczé, to je dłudżé, To kaszëbskô stolëca.

Nie potrafię tak pięknie. Jak to z tą kaszubskością w Pani? Ona żyje nadal?

Tak, ona jest. Ona się tak naprawdę pojawiła i rozgościła we mnie w momencie, kiedy byłam już dość dorosłym człowiekiem. Przez długi czas była mi ta, może nie tyle kaszubskość, ile fakt, że pochodziłam ze wsi, a była to kaszubska wieś, był mi kulą u nogi.

Dzieciństwo spędziła pani w Gowidlinie.

Tak. Zawdzięczam to mojemu zawodowi, mojej pracy, uświadomienie sobie, że to jest mój rdzeń, rdzeń człowieka, że to są moje fundamenty. Ta moja wieś, te moje korzenie i ta kaszubskość, kaszubski język. Zdałam sobie sprawę z tego, że ja inaczej mówię, inna muzyka się we mnie odzywa, kiedy mówię po kaszubsku.

A propos tej muzyki wewnętrznej, ja jeszcze chciałbym pogłębić ten temat. Chciałbym dotrzeć do pani „wewnętrznej babci”. Nie wiem, czy pani pamięta?

A, babci „bożopodszewkowej”!

Tak, z serialu „Boża podszewka”. Wspaniale pani o tym mówi we „Flirtując z życiem”. To było doświadczenie na pograniczu aktorstwa i psychologii. Jak pani w sobie odkryła tę babcię? Bo nie wystarczyła charakteryzacja do tej roli, żeby panią postarzyć tak, aby pani była starsza od aktora, który kreował rolę pani syna, a w normalnym życiu był starszy od pani.

Tak, Adam Ferency.

Więc są w życiu takie przypadki, że syn jest starszy od matki!

To jest właśnie to coś, co się nagle zdarzyło, co zanotowałam na planie. Oczywiście przygotowywałyśmy się do tego z reżyserką – Izabellą Cywińską, z charakteryzatorką. Natomiast ja nie wiedziałam, co się stanie w momencie, kiedy wejdziemy na plan. Założyłam na siebie kostium. Założono na mnie tę charakteryzację. Zaczęliśmy próby pierwszej sceny. Pamiętam, że po raz pierwszy zagrałam tę siedemdziesięcio-kilkulatkę z moim najstarszym filmowym synem – Kostusiem czyli Romanem Gancarczykiem. I nagle uświadomiłam sobie, że pojawiają się gesty nie wymyślone przeze mnie wcześniej, pojawiają się gesty mojej babci. Pojawiło się ułożenie ciała mojej babci, ale złapałam się na tym po kilku dniach zdjęciowych tych scen.

Bo pamięć to nie jest dysk twardy tylko o tu, w głowie. Ona czasami jest też ... w łokciach.

Tak, w łokciach. Nagle się okazało, że przyjęłam taką pochyloną postawę, z łokciami wysuniętymi do tyłu, żeby utrzymać równowagę. Jednak analizowałam to dopiero po fakcie, post factum, nie w tamtym momencie. Nie próbowałam siebie ułożyć, swojego ciała, do tamtej starszej kobiety, tylko ta starsza kobieta jakoś ...

... objawiła się ...

... tak, objawiła się, rozpychała się we mnie ...

...łokciami...

...zaczęła się we mnie rozpychać łokciami, dosłownie.

O tych niesamowitych doświadczeniach możemy przeczytać we „Flirtując z życiem”. Diapazon, wachlarz pani ról jest bardzo szeroki. Jak pani kreuje – w sobie- te role? Z jednej strony mamy takie patriotyczne „matrony” jak pani Generałowa w „Katyniu”, mamy

zimne matki jak pani kreacja w „Bejbi blues”, mamy też głuchoniemą w „Gnojach”. Pani się uczyła języka migowego?

Nie.

To były tylko czyste gesty?

Nie uczyłam się. To powstało na użytek tego filmu. Wcześniej się nie uczyłam.

A ja myślałem, że pani opanowała cały alfabet i że to jest wyimek z pani wiedzy. Tak to naturalnie wyglądało na filmie. Mówiliśmy już o „Chopinie. Pragnieniu miłości”. Pojawiła się po tym filmie taka rymowana recenzyjka. Że „życie artysty to męka. On kaszlący, ona ... Stenka”.

Tak. (Śmiech)

To miało być niby zabawne. Powiedzmy. Mnie się ten film bardzo podobał, więc nie utożsamiam się z tą recenzją. Natomiast pozwoli pani, że ja przywołam inną grę słów. Dla mnie wiele z pani filmów to są takie „stenki”, scenki ze Stenką. Tak jak w „Łagodnej” na przykład. Zapamiętałem panią z tego filmu z takiej jednej sceny: wynosi pani szklane naczynie z pijawkami, które się wiją, bo główna bohaterka –Łagodna Dostojewskiego- ma stawiane pijawki. Pani wynosi to naczynie i nie reaguje obrzydzeniem, tylko takim „naukowym” zdziwieniem.

(Śmiech.)

Przekazuje pani w taki „racjonalny” sposób tę kuwetę lekarzowi. Przepraszam, że pytam o takie szczegóły, ale myślę że naszych widzów i naszych słuchaczy interesują takie sprawy kuchni aktorskiej. Jak to się robi? Jak pani dochodzi do takiej scenki, do takiej „stenki”?

O Boże, to trudne. Powiem panu, że pan jest lepiej przygotowany do tej rozmowy ode mnie, ponieważ ja nie wszystko pamiętam w szczegółach. Ja bardzo dawno nie widziałam tych filmów. Podejrzewam, że gdy obejrzałam ten film tuż po premierze, byłam na tyle zdenerwowana, że ...

Zachęcam jako widz. Proszę jeszcze raz zobaczyć ten genialny film Mariusza Trelińskiego z 1995 roku z pani genialną rolą.

To lata temu. Muszę do tego wrócić. Tak to bardzo ciekawy film Trelińskiego.

A przypomina sobie pani inne tego typu scenki z jakiegoś filmu czy spektaklu teatralnego. Takie, które zapadły pani w pamięci i obudzona o dwunastej w nocy jest pani w stanie sobie przypomnieć wszystko. Wiem, że tego było tak dużo ...

Ja mam niestety problem- wywołana do tablicy – nie mam gotowych scen. Ale one we mnie są. Gdybyśmy rozmawiali na temat jakiegoś filmu, czy sztuki teatralnej, pewnie by wyskoczyły. Mnie się przypomina, a propos zmysłów, taka przygoda z „Dziadami” Mickiewicza w Teatrze Telewizji Jana Englerta. Grałam Rollisonową **(niewidomą wdowę, matkę studenta nieludzko potraktowanego przez rosyjskich siepaczy za udział w antycarskim spisku- przyp. B.Z.)** i pamiętam fantastyczną uwagę Jana Englerta. Przeżywałam stres związany z tym, że po raz pierwszy spotkam się na planie ze Zbigniewem Zapasiewiczem, i byłam pewna, że tego nie udźwignę. Pamiętam pierwszą próbę już tam na planie, w kostiumie. Nagle podchodzi do mnie Janek Englert i mówi: „Słuchaj, nie graj tego, że ona nie widzi. Graj to, że słyszy, że bardzo dobrze słyszy. Ludzie niewidzący mają rozwinięty zdecydowanie bardziej inne zmysły, przede wszystkim słuch ...

Przez chwilę słyszeliśmy ciszę, bardzo zmysłowe doświadczenie.

To była niesamowita uwaga Jana Englerta. Po prostu to poczułam. Ponieważ miałam otwarte oczy, nie mogłam nie widzieć oczyma, widziałam te obrazy, musiałam grać, że nie widzę, że moje gałki „nie idą” za postaciami, które do mnie mówią, które przechodzą przed moimi oczami. Ja je widziałam. Łatwiej by mi się grało, gdybym mogła te oczy zamknąć. To było niesamowite, bo Englert otworzył mi zmysł słuchu tym jednym zdaniem, uruchomił słuch; i nagle poczułam, że całe ciało zaczyna inaczej działać, że moje uszy „wyszły na plan pierwszy”, że głowa inaczej zaczęła pracować na karku. To są fantastyczne uwagi reżyserskie.

Reżyser też musi mieć głowę na karku, tak?

Tak. Reżyser musi mieć głowę na karku, umieć trafić lotką w samą dziesiątkę, w sam splot słoneczny, w samo centrum tego mechanizmu, który nas uruchamia.

Świetnie rolę reżysera przedstawiono w innym filmie z pani udziałem- w „Łóżku Wierszynina”. Tam reżyser „bije się sam ze sobą”; dużo zależy też od aktorów, którzy próbują go prowadzić. To niesamowita gra pomiędzy tym, kto kreuje spektakl a tymi, którzy są prowadzeni.

To najciekawsze w tym fachu, dla mnie najciekawsze: spotkania, nie role. Wielokrotnie pytano mnie o to, jakie mam marzenia, myśląc że wymienię jakieś role, a ja właściwie nie mam marzeń-ról, nawet nie chcę mieć marzeń-ról. Pozostaję otwarta i właściwie każda zaproponowana rola budzi we mnie ciekawość, bo jest jakimś prezentem.

„Z kim będę grała”? Że z Fryczem, że z Gajosem?

Tak, z kim. Dowiaduję się, jaka to rola i z kim będę grała, kto będzie reżyserował. To jest najciekawsze i najbardziej istotne: z kim. Bo to ,

co się zdarza w pracy i – czasami jednorazowo- na spektaklu, granym już dziesiątki razy, to coś szczególnego. Na to mają wpływ ludzie, z którymi się pracuje, z którymi się spotyka. To, co się między nimi wytwarza.

Pani te relacje między panią a mężczyznami określa mianem „flirtu” – dosłownie. Ten metaforyczny tytuł książki „Flirtując z życiem”, od którego się pani troszkę dystansowała, ma rozwinięcie w książce.

Tak.

To jest sposób nawiązywania relacji z partnerami.

Ale to nie dotyczy tylko mężczyzn. No, czymże jest flirt? To jest wymiana energii, prawda? To jest wymiana, po prostu. Flirt jest wymianą. ... Pozytywną.

Ale we flircie następuje jakiś koniec. Są pewne bariery. Nie przekracza się tych barier. Czasami. Bo flirt – przeczytałem to w Wikipedii (śmiech)- może być „grą wstępną”.

Tak? (Śmiech)

Czy „flirtując z życiem” pani chce tylko tak po powierzchni płynąć? Jest jakaś granica, której pani nie przekracza? Czy jednak ...?

Ja nie wiem, co Łukasz Maciejewski miał na myśli, dając taki tytuł- „Flirtując z życiem”, ale ja to odczytuję w ten sposób, że to jest rodzaj „zaczepek”.

Jest takie fajne określenie w tej nowej mowie fejsbukowej – właśnie „zaczepek kogoś”. Klika się i to jest taka „zaczepek”.

Tak? Ja nie działam w tych rejonach.

Ja też nie. Ja tylko podglądam, jak córki to robią.

I tak się mówi, że „się zaczepia”?

Tak. Taka właśnie „zaczepka”.

Acha, zaczepka. (Śmiech) Myślę, że to jest to, żeby móc przez chwilę powędrować. Tyle że z życiem wędruje się dalej. Nie pozostaje się na poziomie flirtu.

No właśnie, tak jak z pani mężem. Też aktorem.

Tak.

Ale z aktorem, który znalazł w sobie tę barierę i dalej nie poszedł już w kierunku aktorstwa. Pamięta pani ten moment, kiedy pani mąż zdecydował się na taki właśnie krok?

Tak, pamiętam. To było tuż po urodzeniu mojej pierwszej córki. Wróciłam z Warszawy, ponieważ pracowałam już w Warszawie. Mąż mieszkał w Poznaniu. Urodziłam córkę w Poznaniu i siedziałam z nią przez kilka miesięcy wakacji w Poznaniu. I w tym czasie, któregoś dnia mąż powiedział, że ma taki pomysł na dalsze swoje życie, żeby odejść z teatru. Może „dogrywać” coś, może od czasu do czasu coś zagrać jako tak zwany wolny strzelec, ale zrezygnować z etatu.

Jak pani zareagowała, pani odradzała mężowi tę decyzję, czy pani to przyjęła z dobrodziejstwem inwentarza?

Przyjęłam to. Nie ukrywam, że mnie to zadziwiło, bo zdawałam sobie sprawę, że to nie będzie łatwe. Coś takiego jest w tym naszym zawodzie, że kiedy się połknie bakcyła, trudno jest się od tego odciąć. I to rzeczywiście ciągnęło się za nim przez lata- ta tęsknota. Nie wiem, czy nadal nie ma gdzieś cichych jakichś tęsknot. Chociaż już pewnie takie wielkie tęsknoty wygasły, ale gdyby ktoś któregoś dnia powiedział- „Słuchaj, zagrałbyś w moim filmie, czy zagrałbyś w tej

scenie.”- to podejrzewam, że byłby w stanie na chwilę rzucić to, co robi i wrócić.

To takie banalne, kiedy się mówi –„życie to jest teatr”. Jednak w przypadku państwa rodziny to się tak przeplata.

Tak.

Nawet Pani córka ma takie teatralne, różewiczowskie imię.

Paulina.

Z „Białego małżeństwa”.

To była moja druga rola teatralna- Paulina w „Białym małżeństwie”. Druga rola teatralna, ale właściwie to był mój chrzest bojowy. W tej roli czułam, że zaczynam stawać na własnych nogach, że to ja zaczynam powoli budować swoją rolę, że już się wydobywam spod skrzydeł i parasola szkoły. Zaprosił mnie do swojego teatru Ryszard Major, który był moim profesorem w Studium Aktorskim w Gdańsku przy Teatrze Wybrzeże. Było to dla mnie przedłużenie szkoły, to było fantastyczne, czułam się bezpiecznie. A jednak dopiero ta rola była pierwszą „moją”, pierwszą, którą „rodziłam”, którą tworzyłam. „Rodziłam” tę Paulinę i - mało tego- bardzo ją lubiłam. Nie tyle lubiłam rolę, ile lubiłam tę dziewczynę.

Poród, tak?

Tę dziewczynę. Tę Paulinę. Tak jakbym potrafiła z boku na nią spojrzeć, na tę dziewczynkę, którą byłam, ganiając po scenie.

I to zostało. A są jeszcze jakieś inne ślady pani ról, pani doświadczeń teatralnych w pani życiu? Czy to jest wyjątek, bo to się nie łączy ze sobą?

To przepływa. Widzi pan, ja nie jestem dobrym materiałem, ponieważ ja –wywołana do tablicy- nie mam gotowych przykładów. Ja nie oddzielam grubą kreską, nie oddzielam żadną kreską mojego życia zawodowego i prywatnego. To jest moje życie. To po prostu jest moje życie. Próbuję nazwać je zawodowym i prywatnym, ale tak naprawdę to jest jedno moje życie. To się przeplata. Jedno wynika z drugiego, drugie jest podpierane pierwszym.

W książce pięknie to pani opisuje, kiedy pani wspomina, jak pani pędziła z prób do domu, żeby –tak jak kobieta, normalna kobieta- przygotować obiad, żeby spać ze swoją córeczką, która płakała w nocy, budziła panią.

A to akurat miało związek z Krakowem. Przyjeżdżałam tutaj, wstawałam o jakiejś piątej nad ranem, o siódmej wsiadałam do pociągu, przyjeżdżałam na próbę do Teatru Bagatela, bo Waldek Śmigasiewicz robił „Makbeta”. Od dziesiątej do czternastej byłam tu na próbie i wsiadałam do pociągu, ponieważ pracowałam wtedy w Warszawie – w Teatrze Dramatycznym w Pałacu Kultury. Miałam kawałeczek z Dworca Centralnego do Pałacu Kultury. Tu grałam spektakl, po spektaklu wracałam do domu, gdzie czekało na mnie moje świeżo urodzone dziecko. Niedawno urodzone dziecko budziło się w nocy, karmiłam je jeszcze piersią.

Światła na platformie kolejowej mogą się pomylić z teatralnymi światłami ramp.

Tak było. Miałam swoich znajomych w pociągu, których spotykałam codziennie. To był rzeczywiście bardzo intensywny okres. Wtedy się bardzo wyraźnie przeplatało moje życie z zawodem oraz miastami i miejscami.

Przed panią kolejna rola teatralna. Przeczytałem we „Flirtując z życiem”, że pracuje pani teraz nad „Lodem” Władimira Sorokina.

Tak wróciliśmy do tej pracy. Zaczęliśmy próby na wiosnę w Teatrze Narodowym z Konstantinem Bogomołowem, tyle że w pewnym momencie zmieniła się reżyserowi koncepcja. Wrócił do siebie, wrócił do Moskwy, ale z nowym scenariuszem, który powstał już prawdopodobnie. Nie mieliśmy go jednak jeszcze w rękach. Dostaniemy na pierwszej próbie. I spotkamy się z nową koncepcją w tym tygodniu. **(Wywiad nagrywany 27.11.13. – przyp.B.Z.)**

Świeżutka sprawa. Gorący „Lód”. Nie przeraża panią ta powieść trochę? O takim poszukiwaniu człowieka idealnego w piersi człowieka?

Nie przeraża mnie ta powieść. Czytał pan „Lód” czy całą trylogię.

Całą trylogię.

Nie przeraża mnie, natomiast bardzo ciekawi mnie, jakże to można przełożyć na deski...

... na scenę...

...to mnie może troszkę ... może nie przeraża, ale intryguje.

Gdzie panią zobaczymy w najbliższym czasie na deskach scenicznych?

W najbliższym czasie w moim macierzystym teatrze w „Królowej Margot” we wtorek i od czwartku w „Aniołach w Ameryce” Warlikowskiego ...

...według Kushnera...

...Tak, w Nowym czyli w ATM-ie przy Wale Miedzeszyńskim w Warszawie.

A w filmie?

A w filmie na razie cisza.

Sądzę, że to jest taki „antrakcik”.

Powiedziałam „na razie” (śmiech).

Serdecznie pani dziękuję za tę rozmowę.

Dziękuję pięknie za zaproszenie.

I oczywiście poproszę o autograf dla naszych słuchaczy na okładce książki „Flirtując z życiem”, dla mnie na płycie z moim ulubionym spektaklem z pani udziałem – „Krum” Krzysztofa Warlikowskiego. Tam zarejestrowano pani niesamowity „flirt” na scenie.

Z Włochem.

Polecam, kto jeszcze nie widział. Jest tam taka pani kwestia: „Do nogi!” Bardzo dziękuję.

Dziękuję pięknie.

P.S.

Kto pierwszy z Czytelników dotarł do tego miejsca, a pragnie otrzymać książkę z autografem Danuty Stenki, proszony jest o napisanie komentarza pod wpisem na moim blogu, i wysłanie na moją skrzynkę bogdan.zalewski@rmf.fm maila ze swoim adresem kontaktowym. Kto pierwszy, ten lepszy! O tym, do kogo trafi egzemplarz „Flirtując z życiem” decyduje czas komentarza.

Bogdan Zalewski

